

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok 1.

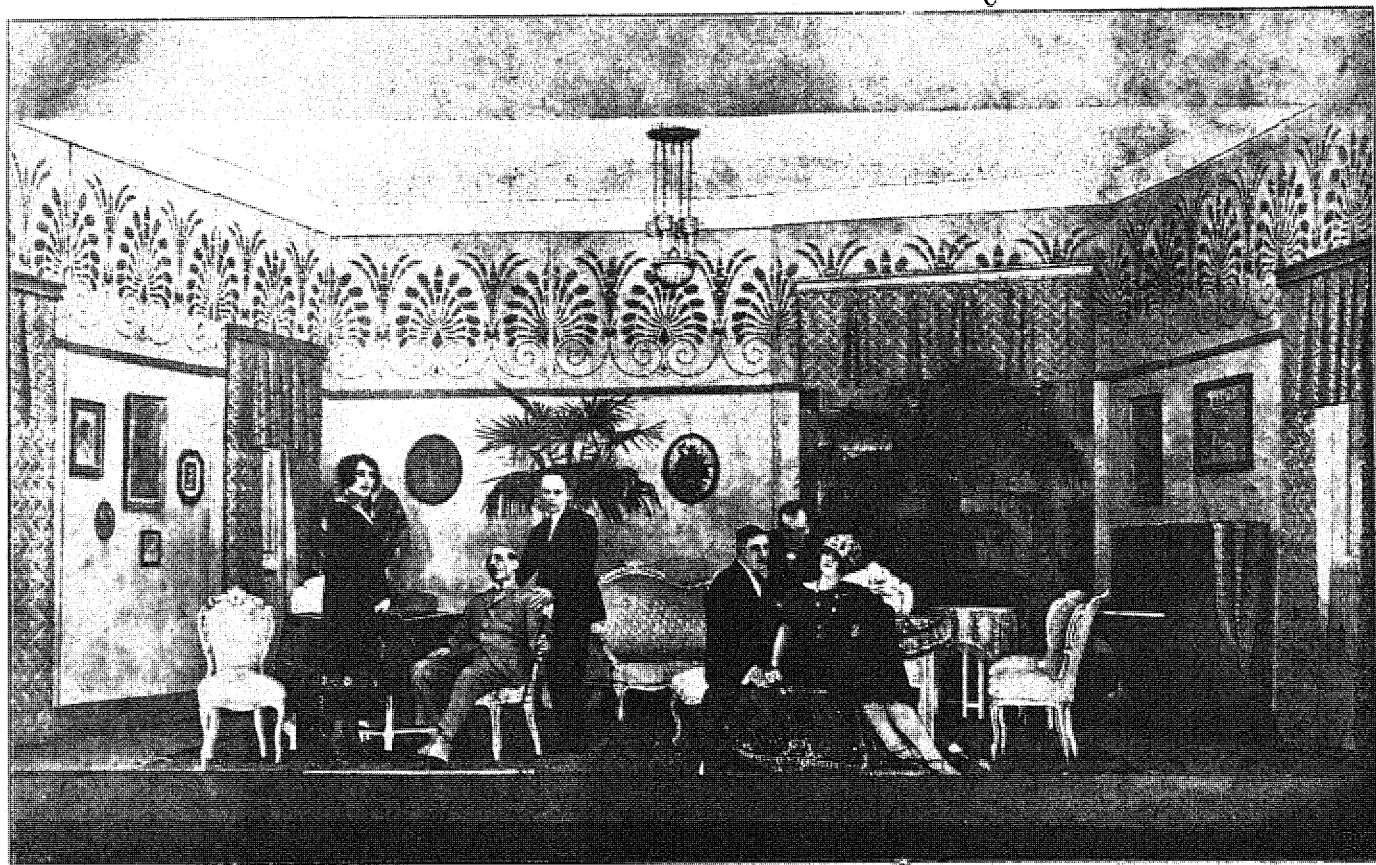
Ł ó d ź, 21 grudnia 1924 r.

Nr. 18

„Zmartwienia pana Hamelbeina“

Komedja w 3-ch aktach Stefana Krzywoszewskiego.

W TEATRZE MIEJSKIM.



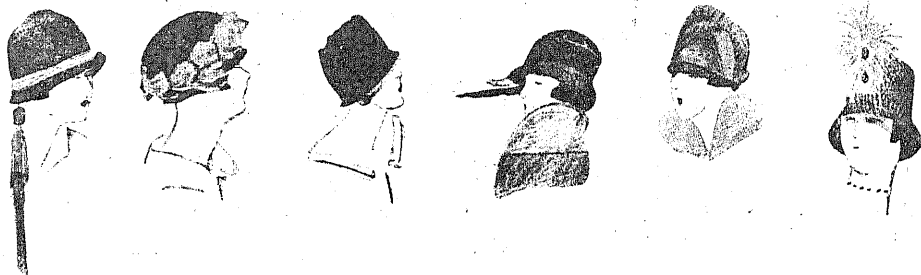
Wanda Jerzmanowska jako Ewa Hamelbein, Jan Mroziński — prezes, Michał Znicz — Adam Hamelbein, Konstanty Tatarkiewicz — Henryk Leński, Marja Rozwadowiczowa — Krystyna, Kazimierz Fabisiak w roli Augusta Borskiego.

JAKIE MAMY ŻYCZENIA NA GWIAZDKE?

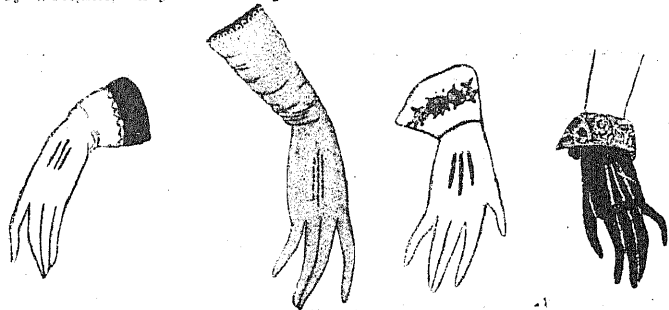
Dzisiejsze rady będą raczej dla pań, niż dla Was, piękne panie. Omówię mnóstwo rzeczy, które radebyśmy znalazły pod drzewkiem — do Was, miłe czytelniczki, należy podsunąć te kartki naszym domowym tyranero i westchnąć cicho (przecież dostlyszalnie) na temat: „Ach, jaka uroczą sakiewka! Takie rękawiczki Nr. 6 napewno są do nabycia...”

Na suknie balowe, okrycia teatralne i inne stroje będzie jeszcze czas. Dzisiaj trzeba pogawędzić o wszystkim — i ničem.

Kapelusze nosimy dalej małe. Fasony już z wami omawiałam: torebki, berety, cylinderki. Nowością są częste przybrania z szerokiej wstążki, sztywne skrzydel-



- 1) Aksamitny kapelusik dla panienek, zakończony chwastem.
- 2) Czarny aksamitny toczek, przybrany białymi skrzydełkami.
- 3) Czarny kapelusik z paune — szeroka jedwabna wstążka tworzy 4 kąty.
- 4) Czarny aksamitny, podniesiony z jednego boku kapelusik — sztywne pióro wysunięte z rondka.
- 5) Jasna morszczona wstążka otacza haft perełkami na aksamitnej głowie.
- 6) Czarny cylinder z paune z wysoką upiętą egretą z białych krosów.



- 1) Rękawiczka biała glace z czarnym mankieciem i nitym barwnym haftem.
- 2) Lila zamszowa rękawiczka z długim marszczonym mankiem.
- 3) Ręk. biała glace, kolorowe koralikami haftowane róże.
- 4) Czarna duńska rękawiczka z wywróconym tafetowym mankieciem, barwnie haftowanym.

ka lub pojedyncze pióra i wysoko umieszczone ozdoby z piór lub też ze wstążek.

Często przytem stosujemy szal do kapelusza. Zwróciłam uwagę na paryski komplet — czarny toczek z wielkim ornamentem plastycznych owoców — i także dwa ornamenti na czarnym szalu — jeden na szyi, drugi na przednim końcu.

Duże chustki są przeważnie jedwabne we wszystkich kolorach. haftowane barwnie brzegiem lub w rogach, obramowane frendzlą jedwabną lub kotikową nieraz na pół metra długa. Oczywiście, że chustki koronkowe są nadal ideałem pięknych pań.

Małe sakiewki stanowczo się znudziły. Duże zamszowe kolorowe torby i portfele na długo uzyskały poczytność. Oryginalnie wyglądają torebki z jedwabiu, naszyte w kolorze sukni wieczornej — bądź też każdy rząd z innego koloru wstążeczki.

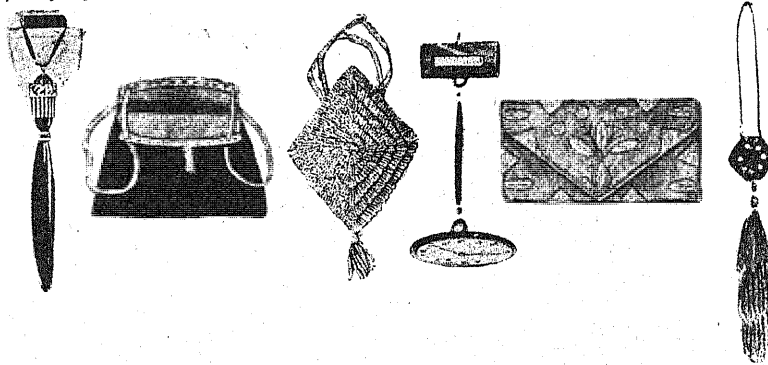
Zegarki modne są duże, płaskie, niby tarcze, zawieszane przy kieszonce, broszce lub branzoletce. Wątpię, czy to wpływa dodatnio na ich punktualność — ale Moda jest uroczą egoistyczną despotką — słuchajmy jej!

Skoro napomknęłam o branzoletkach, dodam, że są teraz bardzo modne. Robią je, równie jak i naszyjniki, z wielkich koral. Korale mogą być z półszlachetnym kamieni, batikowanej masy, szkła, porcelany lub metalu.

Na drewnianych lub z kości słoniowej branzoletkach nosimy... krótkie, pękate parasolki z ciemnych kolorowych jedwabi,

nawet szkockich. Kijek i zakończenie drutu z drzewa, rogu szyldkretu lub kości — jak branzoletka.

Rękawiczek powinnyście, piękne panie, dostać bardzo wiele — albowiem nawet do sukien bez rękawów nie zdejmujemy ich z rączki, a przy nagim ramieniu zabawnie



- 1) Papierošnica z ciemnej emalii, ledwie widoczna z kieszonki sukni, długi chwast w oprawie z galalitu.
- 2) Duża torebka z liljowej zamszy, paski skóry ściągają oprawę rogową.
- 3) Sakiewka z krepdeszynowej wstążeczki.
- 4) Płaski zegarek na onyksowanej dewizse zawieszają się u kieszeni sukni.
- 5) Szary zamszowy portfel wysadzany stalowymi perełkami.
- 6) Emaljowana puderniczka, zakończona chwastem.

wygląda krótka rękawiczka z suto i jaskrawo haftowanym wywróconym mankieciem. Białe glace, tak niepraktycznie brudzące, są, niestety, bardzo modne.

Przepych pantofelków niesłychany. Po za załączonymi modelami polecam jeszcze

na, zwłaszcza, jeżeli materją tą będzie lamina.

Wogóle niczem nie gardź, piękna pani — nawet życzeniami Wesołych Świąt od Varsovienne.

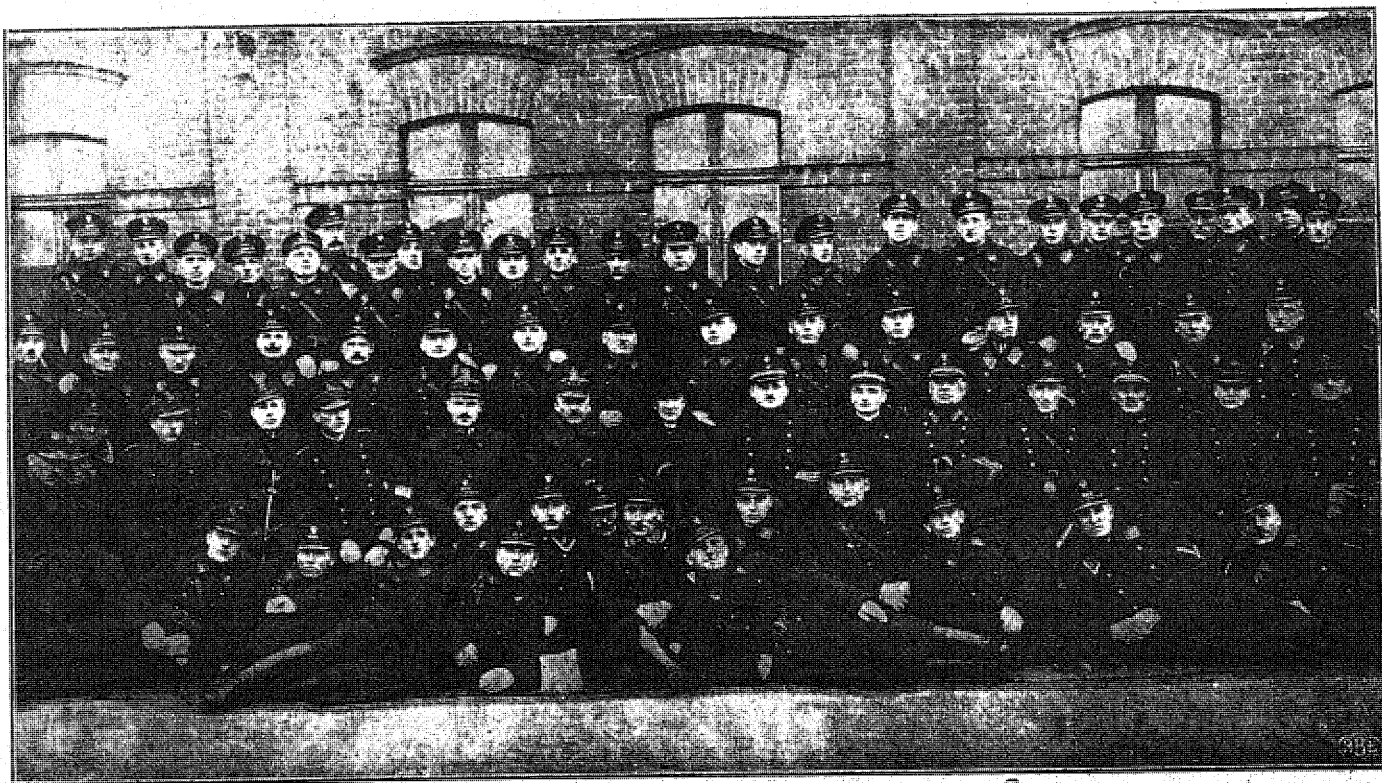


- 1) Reniferowy szary pantofel spacerowy.
- 2) Lakier na ulicę — kłama z frendzelką.
- 3) Wieczorowy pantofel w dwukolorową szachownicę.
- 4) Poobiedni pantofel z beige zamszy z lakierem. Poobiedni lakier z szmaragdowo-zielonemi paskami.
- 6) Wytłowa beige łódyczka, przybrana czerwoną skórka.
- 7) Wieczorowy zamszowy pantofel z liljowo-czarną szachownicą.

UROCZYSTE POŚWIĘCENIE SZTANDARU W STOW. GLUCHONIEMYCH.



Członkowie Stowarzyszenia, zarząd, zaproszeni goście i sympatycy z J. E. księdzem biskupem Wincentym Tymienieckim na czele.

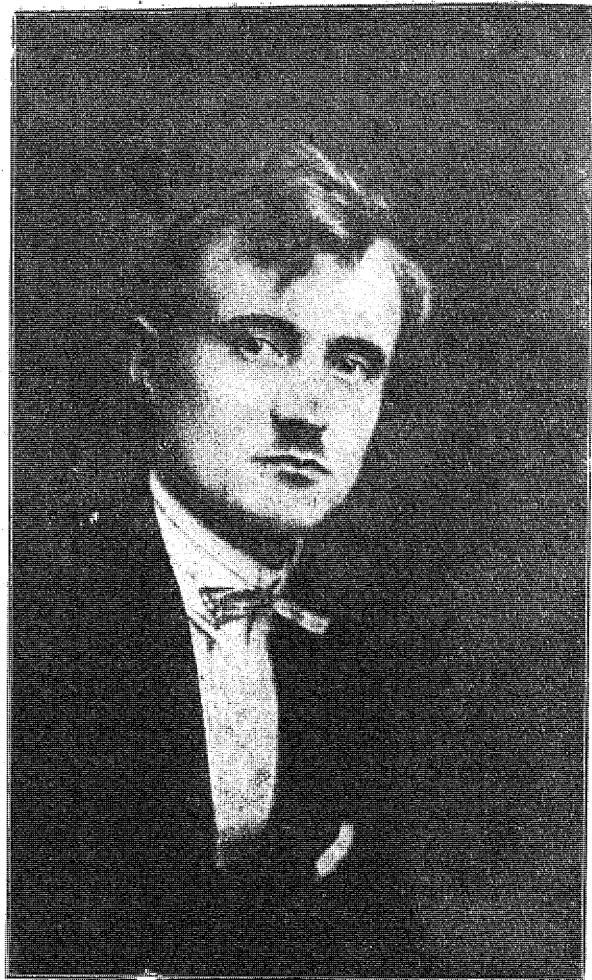


Zakończenie kursu wyszkolenia wojskowego Policji Państwowej w Łodzi z władzami policyjnymi i wojewoda łódzkim p. dr. P. Garapichem na czele.

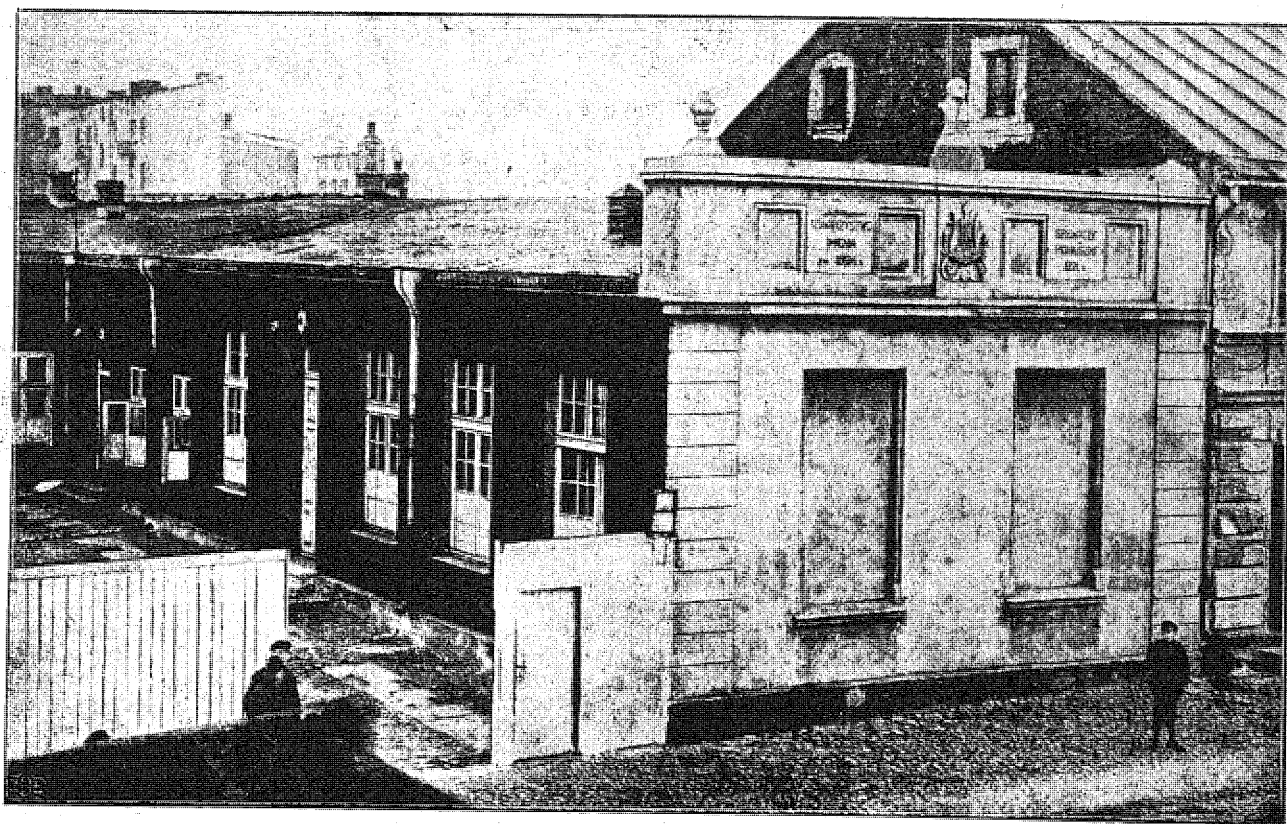
Trzydziestoletni jubileusz Towarzystwa śpiewaczego im. Moniuszki.



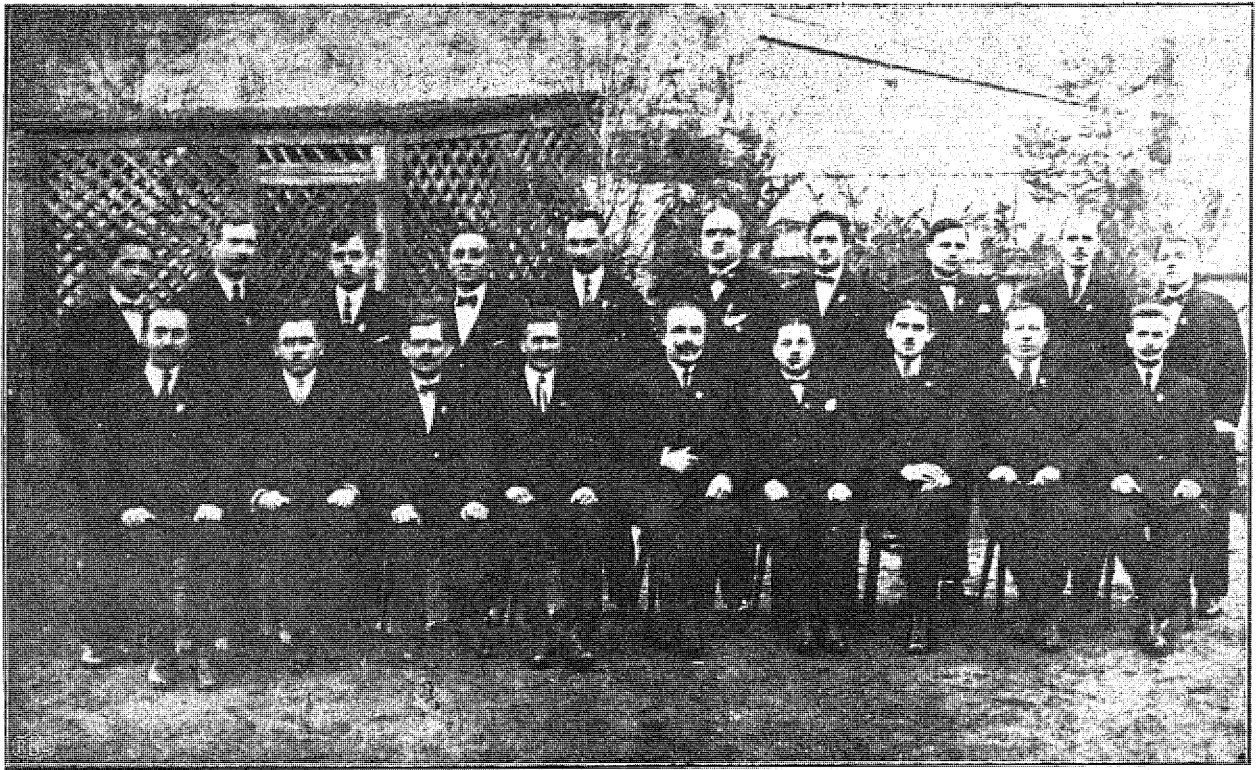
Józef Wolczyński
Przewodniczący Zarządu od roku 1906.



Dyrektor Karol Prosnak,
kierownik muzyczny Towarzystwa.



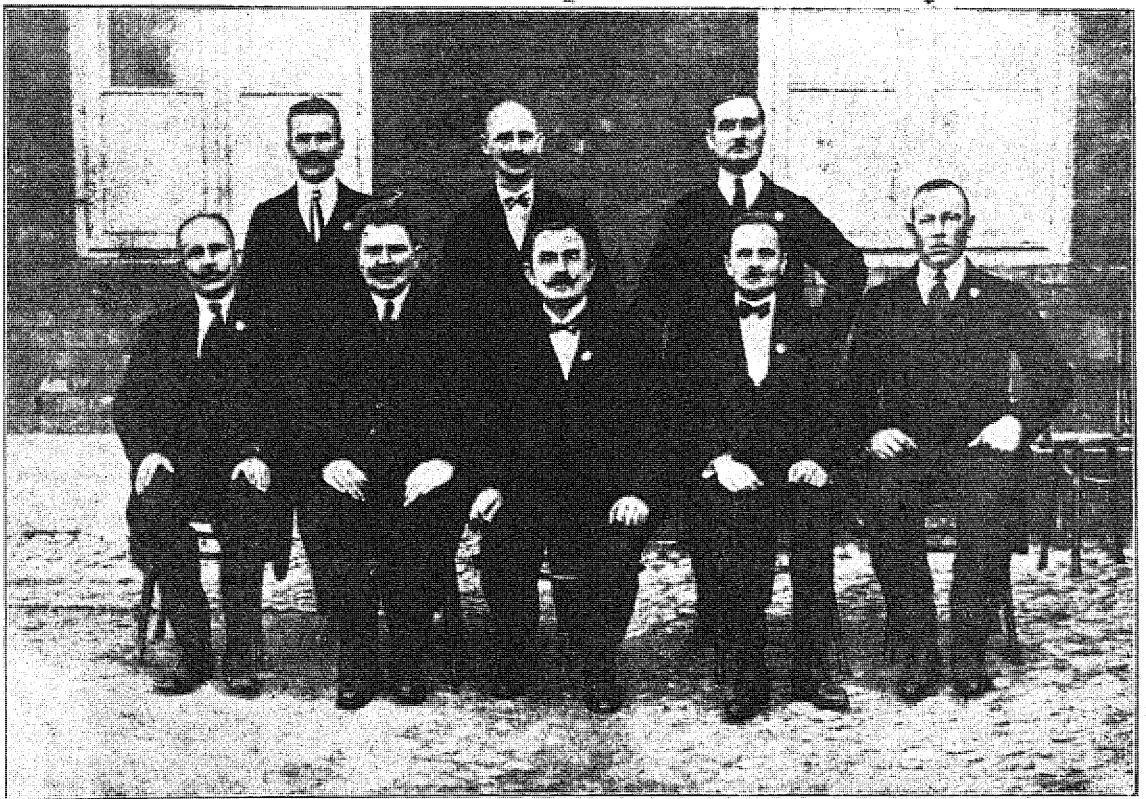
Gmach Towarzystwa przy ul. Ogrodowej, wykończony i poświęcony, dn. 22. XI. 1920 roku.



Władze Towarzystwa. Siedzą członkowie Zarządu Głównego od strony lewej: 1) Padkowski A. 2) Oświeciński J. 3) Dębowski Z. 4) Krzemień A. 5) Wolczyński J., prezes. 6) Laske A. 7) Michalkiewicz W. 8) Markowski J. 9) Kustrzyński I. Stoją członkowie Zarządu Kasy Samopomocy, Biblioteki i Kom. Rewizyjnej: 1) Nowalnicki St. 2) Karulakowski B. 3) Stasiak F. 4) Smolarek P. 5) Frankiewicz St. 6) Harasz J. 7) Wojciechowicz W. 8) Kwiatkowski St. 9) Majchrzak B. 10) Miller St.

W okazałej liczbie stowarzyszeń kulturalno oświatowych naszego miasta, na pierwsze miejsce wysunęło się w ostatnich czasach Tow. Spiewacze Im. Moniuszki, nie tylko pod względem artystycznym przez zdobycie pierwszej nagrody na Ogólno-Państwowym Zjeździe Spiewaczym w Poznaniu, lecz zarazem i pod względem gospodarczym przez wybudowanie swej sali przy ul. Ogrodowej 34, składającego się z dwóch sal, pokoju bibliotecznego, szatni itp. ubikacji. W dniach 6, 7 i 8 grudnia r. b. Towarzystwo obchodziło trzydziestolecie swego istnienia. Ze sprawozdania z działalności w okresie powyższym widzimy, iż była to działalność nader pożyteczna, we wszystkich bowiem poczynaniach naszego życia kulturalno-oświatowego Towarzystwo brało czynny udział.

Posiadając obecnie trzy chóry, mianowicie dziecięcy, żeński i męski ogólnie 146 członków czynnych jest w stanie wystawić rzeczy najtrudniejsze, czego dowodem było wykonanie na koncercie jubileuszowym w sali Filharmonii nader trudnego poematu muzycznego p. t. „Burza Morska” napisanego na 8-mio głosowy chór przez kierownika muzycznego Towarzystwa p. Karola Prosnaka.



Jubileci. Siedzą od strony prawej: 1) Markowski Jan. 2) Szyłke Bolesław, 3) Skarbankiewicz Tom. 4) Morawiec Józef, 5) Wolczyński Władysław. Stoją: 1) Szuflet Stanisław, 2) Muszyński Jan, 3) Krzemień A.

Duszą Towarzystwa jest również jego przewodniczący p. Józef Wolczyński, dzierżący mandat ten od roku 1906 bez przerw. Wyrażając tą drogą uznanie za pożyteczną i owocną pracę Towarzystwu na niwie pieśni rodzimej, oraz kulturalno-sportecznej, życzyć należy młodemu lecz na-

der utalentowanemu kierownikowi muzycznemu p. Karolowi Prosnakowi, by sztandar pieśni rodzimej pracą swoją niezmierną podnosił coraz wyżej ku Jej sławie.

—X—

W PRZEDZIALE KOLEJOWYM.

(Wesoło dokończenie).

— Ale co ja widzę. — udał zdziwionego, pan Pulvinaire, — ludzie mają słuszną, gdy twierdzą, że tylko góry z górąmi się nie schodzą!... Nigdy nie mogłem się spodziewać, żebym mógł pani powiedzieć: dzień dobry — o tak wczesnej porze.



— Przepraszam pana, ale...
 — Pulvinaire... Pani przecież wie, u Flabellów...
 — Aa, rzeczywiście! klarncista, nieprawdaż?
 — Nie, pani, tylko słuchacz. Pani na południe?
 — Tak, pewnie.
 — Człowiek musi szukać słońca...
 — Właśnie...
 — Jaki śliczny poranek dzisiaj!
 — Klejnot.
 — Czy Flabellowie nie wybierają się razem?
 — Pozostaną w Paryżu tego roku... Względem oszczędnościowe niewątpliwie. Nie wiecie im się teraz.
 — To smutna wiadomość... Ale na to niema rady... Niech pani spojrzy na niebo... jak perłowa macica.
 — Tak perłowa macica zmieszana z opalowymi błyskami.
 — Ludzie w Paryżu za późno wstają; nie mają pojęcia o tem, co my widzimy tutaj...
 — Pan pewnie stale jeszcze wygrywa: „Nastroje wieczorne nad jeziorem“...
 — Nie pani,; miałem już zaszczyt zwierzyć się pani, że byłem zwykłym słuchaczem, nie gram nawet na prostej piszczałce...
 — Aa, to prawda! Jaka jestem bezmyślna!... Pan przecież jest panem Simonetem?
 — Nie pani, Pulvinairem.
 — O, tak właśnie myślałam.
 — Mąż pani zdrów?
 — Spodziewam się, już jedenaście lat go nie widziałam.
 — Przepraszam panią...
 — Proszę...
 — Biedni Flabellowie... zanadto byli towarzyszcy; musiało się skończyć źle.
 — Było przyjemnością u nich bywać.
 — Tak, ale goście ich obmawiali, gdy od nich wychodzili... Zanadto rzucali pieniądze na prawo i lewo... chcieli odgrywać większą rolę, aniżeli powinni byli. Te długie wonne cygara u nich... mieli także dwa fortepiany...
 — Tak, aby móc grać na osiem rąk...

— Jedno pianino jest dostateczne, moja pani i jeżeli ktoś uważa, że ma za mały kalas w domu, to może przecież mocniej walić nogą w pedał.

W tej chwili pan Pulvinaire usłyszał wyraźnie: — Idźta... —, które niewątpli-

wie było wypowiedziane pod jego adresem i pochodziło od pani, siedzącej naprzeciw niego; wyglądała, jak wściekła i jej mąż napróżno usiłował ją uspokoić. Wybuchnęła znowu: — Tego już zanadto... być zmuszoną do słuchania takiej głupiej paplaniny... wcale za tem nie przepadam powiadam ci...

Wkońcu wstała i rzekła podniesionym głosem do swego męża:

— Dłużej tego znieść nie mogę. Idziesz ze mną?

— Dokąd?

— Na korytarz.

— Jak chcesz, moja kochana.



Wyszli; pani Bailotte syknęła:

— Czy pan słyszał, co ona powiedziała?

— Nie.

— Nazwała pana idjotą.

— Myśli pani? Ja jej nie znam.

— No to ja ją znam.

— To niemożliwe!

— To przyjaciółka lat dziecinnych...

Angielika Dudy... Odkąd wyszła zamaż nazwywa siebie panią Jolot-Dudy... Ta kreska to jedyny łącznik w ich małżeństwie!... Jesteśmy śmiertelnymi wrogami.

— Nie wygląda na taką, z którąby można sobie dać radę.

— To jest straszna kobieta, powiadam panu. Straszna... Gdyby pan wiedział!...

— Czy przypadkiem nie podsłuchują?...

— To dla mnie obojętne.

— Dla mnie także, ale nie lubię nieprzyjemności.

— Muszę panu opowiedzieć, co ona mnie zrobiła. Pan sam osadzi... Proszę pomyśleć...

— Tsss!...

— Ona...

— Tsss!...

— Ona była...

— Tsss!... To byli właściwie porządni ludzie ci Flabellowie...

Para małżeńska Jolot-Dudy wróciła, ona najpierw, błada jak chustka z oczyma pałającymi ze złości, mąż zaś z wyrazem melancholji w twarzy.

— A to wdepnąłem w jakieś osie gniazdo! Może się przykro skończyć, — pomyślał pan Pulvinaire. — Tego jeszcze brakowało, żebym musiał stanąć po stronie tej harfiarki, która w gruncie rzeczy jest tak samo zwarjowaną hazardzistką, jak jej dawna przyjaciółka. Zachowam się neutralnie. Wyteję całą moją siłę woli, aby zachować się neutralnie...

Pani Boillotte, która na oko była spokojną, w rzeczywistości jednak kipiała od wzburzenia, rzuciła przelotne spojrzenie w mikroskopijne lustro i przejechała pudrem po twarzy. Gdy skończyła i konduktor wywołał śpiewającym głosem poetyczną nazwę stacji, poprosiła pana Pulvinaire, aby jej podał bagaż, zapewniła go, że była zachwycona odnowieniem znajomości i że nie zapomniała jego pełnej talentu gry i szybko przeszedłszy obok pary małżonków, zeskoczyła zręcznie ze schodów.

Po kilku minutach pociąg ruszył z miejsca. Pan Pulvinaire, który czuł się nieswojo pod dzikimi spojrzeniami pani Jolot-Dudy, zrozumiał wreszcie, że coś się stanie. Nie mógł znieść nawet myśli, żeby się coś stać mogło. Lubił tylko mistykę w kinoteatrach i cenił dramatyczne przejścia, ale tylko w książkach. Dlatego zamknął znowu oczy i udał, jakoby znowu zasnął. Po kilku minutach złowrogiego milczenia usłyszał niemiłosierny głos Angieliki:

— Na co czekasz?

— On śpi...

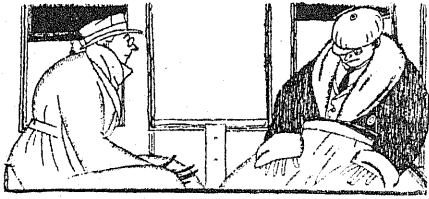
— Zbudź go więc...

— Zdaje mi się jednak...

— Czy nie masz nawet tyle odwagi?

— Czy nie chcą mnie przypadkiem zamordować? — pomyślał przerażony pan

Pulvinaire. Serce zabiło mu gwałtownie w piersi, pot zaś kroplisty ukazał się na czole, pod nasuniętą na oczy czapką.



— Jeżeli ty nie masz odwagi, to ja ją posiadam, — rzekła Angelika. — Mój panie!...

— Oo! — wymamrotał pan Pulvinaire, jakby tknięty paraliżem ze strachu.

— Moja kochana! — prosił mąż.

— Ja się chętnie tego podejmę!... Mój panie!

— Pani?... Czy to mnie, pani...? — wystękał pan Pulvinaire błagalnie, jakby dopiero co zbudził się z głębokiego snu.

— Tak, mój mąż chce z panem mówić.

Potem wstała odsunęła drzwi, zamknęła je gwałtownie za sobą i oparła się o nie w korytarzu.

— Mój panie, — rzekł pan Jollot-Dudy, — nie mam zaszczytu...

Pani Jollot-Dudy otworzyła drzwi.

— Ferdynandzie, — oświadczyła, — gdybyś potrzebował wizytówki, znajdziesz ją w safianowej torbie.

Znowu zatrzasnęła drzwi za sobą.

— To coś pachnie pojedynkiem! — pomyślał pan Pulvinaire jakby rażony gromem; język skolkowaciał mu w ustach, tak, że nie mógł wykrztusić ani słowa.

— Pan pewnie będzie uważał, że zachowuję się nie jak należy, — odezwał się znowu pan Jollot-Dudy. — Ale już sama oko liczność, że zwracam się w ten sposób do pana, udowodni mu, że chodzi o rzecz poważną. Mój panie, proszę mi natychmiast powtórzyć, co pani Baillotte przed chwilą opowiedziała panu o mej żonie. Żądam tego od pana. Proszę myśleć o mnie, co się panu żywnie podoba. Czekam.

Pan Pulvinaire z trudem połknął ślinę i wkońcu zdołał wyjąkać:

— Ona mi nic nie powiedziała... Albo właściwie, ona chciała mi coś opowiedzieć w chwili gdyście oboje państwo powrócili do przedziału... Nic więcej nie wiem...

— Ja...

— Daję panu na to słowo honoru.

— To dla mnie wystarcza, — przerwał pan Jollot-Dudy. — Proszę mi wybaczyć... Kocham moją żonę tak bardzo, że nie mogę znieść najmniejszego cienia obrazy, przeciw niej skierowanej... A prócz tego jest ona trochę nerwowa...

Gdy pan Pulvinaire usłyszał łagodne słowa swego przeciwnika, odzyskał swe zaufanie do samego siebie i rzekł wkońcu:

— Muszę dodać, że pańskie groźby wcale mnie nie przstraszyły.

— Nie, ja to rozumiem, mój panie, ja to rozumiem, — wyszeptał pan Jollot-Dudy melancholijnie. Potem wyszedł do swej małżonki, która wyglądała, jakby miała ulec napadowi nerwowemu. Panu Pulvi-

naire było to obojętne. Pozbierał szybko swój bagaż, pociąg przybył bowiem do stacji, która była jego celem podróży. W korytarzu przeszedł pośpiesznie obok małżonków i prawie w biegu wyskoczył, usłyszał bowiem w ostatniej chwili głos pani Jollot-Dudy:

— Nie, tak łatwo to nie pójdzie!... Teraz mnie się nie wymkna, te jadowite gady. Wysiadam także, Ferdynandzie!

Peron zaroił się ludźmi, pan Pulvinaire spotkał wśród przybyłych swą synową, która powitała go zimno i uroczyście.

— Teściu, — rzekła — ta pani chce pewnie z teściem mówić.

— To musi być pomyłka.

— Jej mąż ją wstrzymuje...

— Czy samochód czeka?

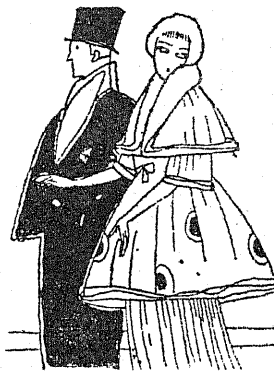
— Tak.

— No to jedźmy.

— Ten pan zawołał do teścia: My jeszcze pomówimy!

— No to nic. Warjatów można spotkać wszędzie. Jedziemy więc?

Jaka radość opanowała pana Pulvinaire, gdy po takim zdenerwowaniu znalazł się w zacisznej, jasnej, kwieciami obrosłej, Willi, przy doskonałej zupie rybnej, pieczysem z indyków i omlecie z doskonałymi konfiturami, nie mówiąc już o pysznym, południowym winku. Do tego wspaniałe, szafirowe niebo, słodka woń kwiatów, nieśmiertelna natura południa, któ-



ra nawet podczas siesty można podziwiać, albowiem świadomość w tem otoczeniu nigdy nie usypia i jest wrażliwa bez przerwy na wspaniałość i piękno, które człowieka ze wsząd otacza.

Ta radość niestety nie była długotrwałą. Właśnie w chwili, gdy pan Pulvinaire na dobre zaczął rozkoszować się otoczeniem, zapukała synowa niedelikatnie w drzwi. Z jej oficjalnego zachowania się można było łatwo wynioskować, że jakieś groźne chmury nadciągały.

— Teściu, — rzekła, — przyszedł ten pan, o którym mówiliśmy na dworcu kolejowym i chce pomówić z teściem w cztery oczy.

Pan Pulvinaire podniósł się ze złością z szeszlona. W ogrodzie spotkał pana Jollot-Dudy, który jednocześnie był nachmurzony, i przestraszony; widoczny był wpływ żony. Jego mowa była krótka:

— To niemożliwe, żebyś pan powiedział prawdę. Niemożliwe. Chce wiedzieć, co pani Baillotte powiedziała o mej żonie. Daję panu czterdzieści osiem godzin do

namysłu. Po czterdziestu ośmiu godzinach przyjdę znowu. Proszę to przyjąć do wiadomości. Jeżeli pan zechce się dalej zastanówić milczeniem, będę musiał użyć najostrożniejszych środków.

W godzinę później siedział pan Pulvinaire w samochodzie, zaś po dwóch godzinach u pani Baillotte przy filiżance herbaty. Postanowił zabrać się zrezygnie do dzieła.

— Spotkałem pana i panią Jollot-Dudy, — rzekł. — Nie są właściwie tacy źli... Spór możnaby ułagodzić... Lubie, jeżeli ludzie są zgodliwi...

— Nigdy! Czy pan może przychodzi od niej?

— Nie. Czy pani zarzuty są więc tak poważnej natury?

Pani Baillotte podniosła swe oczy ku niebu, aby je sobie wziąć na świadka, wykonała zamaszysty ruch ręką i odpowiedziała:

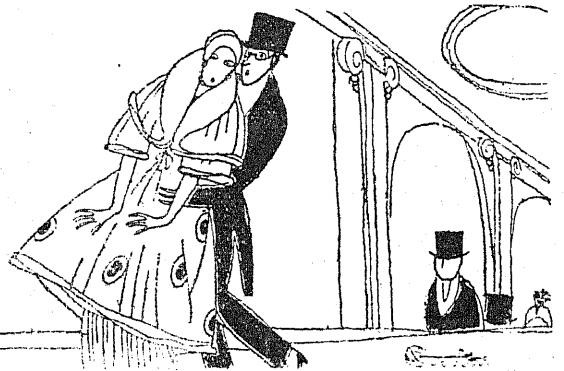
— Niech pan sam osądzi... ona...

— Ona? — powtórzył Pulvinaire przeżony.

— Wyzyskała sposobność, że była sama w moim mieszkaniu i odrysowała sobie wzór nowego płaszcza, który sobie dopiero co kupiłam.

— Ach!

— Pan powiada: Ach!, jakby to chodziło o drobnostkę, o cukierek, który ona zabrała z bombonierki...



— Gdyby jej mąż przyszedł, czy moge mu to powiedzieć?

— Chciałabym mieć sto ust, abym mogła powtórzyć całemu światu, że ona ukradła mi wzór płaszcza, który kupiłam jako model jedyny, dla mnie wyłącznie przeznaczony.

Pan Pulvinaire starał się teraz wyostać jak najprędzej i popędził samochodem do domu, gdzie spotkał pana Jollot-Dudy, spacerującego z opuszczoną głową po ścieżkach ogrodowych. Opowiedział mu więc krótko, co słyszał i dodał, że spodziewa się, iż sprawa ta dla niego jest skończona i pobyt jego więcej nie zostanie zakłócony.

— Będzie pan miał spokój, — obiecał małżonkę, — szczęśliwszy niż ja, który znam to słowo tylko ze słyszenia. Przewiduję, że ta historia z płaszczem ściągnie dalsze nieszczęścia na mą głowę, mimo, że sam płaszcz już dawno wyszedł z mody. Muszę się panu wydawać człowiekiem bez wychowania. Ale takim nie jestem w istocie. Gdybym miał zaszczyt spotkać pana

n. p. w klubie, nabrałby pan innego wyobrażenia o mnie. Jeżeli ktoś skopiuje moje ubranie, będzie mi to schlebiało. Ale jak pan wie, panie maja...

— Nie wiedziałem o tem dawniej; teraz już wiem.

Pan Pulvinaire powrócił z ulgą w sercu, aby wypić pokrzepiający trunek po tylu wzruszeniach. Od tej chwili widział zdaleka pana Jollet-Dudy, jak, przez cały tydzień błakał się samotny z opuszczoną głową, zatopiony w smutnych myślach. Ósme go dnia pan Pulvinaire wybrał się do kasyyna i nieomal zemdlął ze zdziwienia, gdy zobaczył w ogrodzie pogodzone panie Jollet-Dudy i Baillotte, rozmawiające ze sobą z ożywieniem i widocznie znowu szczerze zaprzyjaźnione.



Pierwsza z nich widocznie zwierzała się drugiej z jakąś ważną tajemnicą, szepotała jej bowiem do ucha, mimo, że nikogo dookoła nie było w pobliżu. Pani Baillotte pokiwała współczująco głową. Nie raczyła nawet odpowiedzieć na ukłon pana Pulvinaire; gdy zaś je mijał, usłyszał, jak pani Jollet-Dudy wybuchła głośno:

— I słuchaj, zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, że pozwolił mi obrazić przez tego tam bałwana!...

—:—

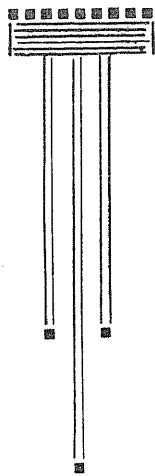
DROBIAZGI.

Odszkodowanie za ubezpieczenie.

Gospodarz ubezpieczył się od ognia i pyta agenta, który wręcza mu polisę:

— A co ja dostanę, jak jutro dom mi się spali?

Agent: No, najmniej trzy lata.



Tadeusz Korpala

POSEŁ dr. TADEUSZ DYBOWSKI.



Były naczelny dyrektor Tow. „Rozwój”, autor kilku dzieł z zakresu ekonomji oraz żydoznawstwa.

Melancholja na dalekich drogach.

Zazdrosny mąż.

— Czy twój mąż jest zazdrosny?

— Narazie nie był, ale wierz mi, że nie-mało trudu kosztowało mnie, zanim go uczyniłam zazdrosnym.

W restauracji „z Jazz-Band'em”.

— Czy pan, drogi panie kapelmistrzu, umie wszystko zagrać?

— Ależ proszę bardzo, co szanowny pan życzy sobie?

— Tak, to siadaj pan i graj w sześćdziesiąt sześć, aż zjem i pójdę sobie.

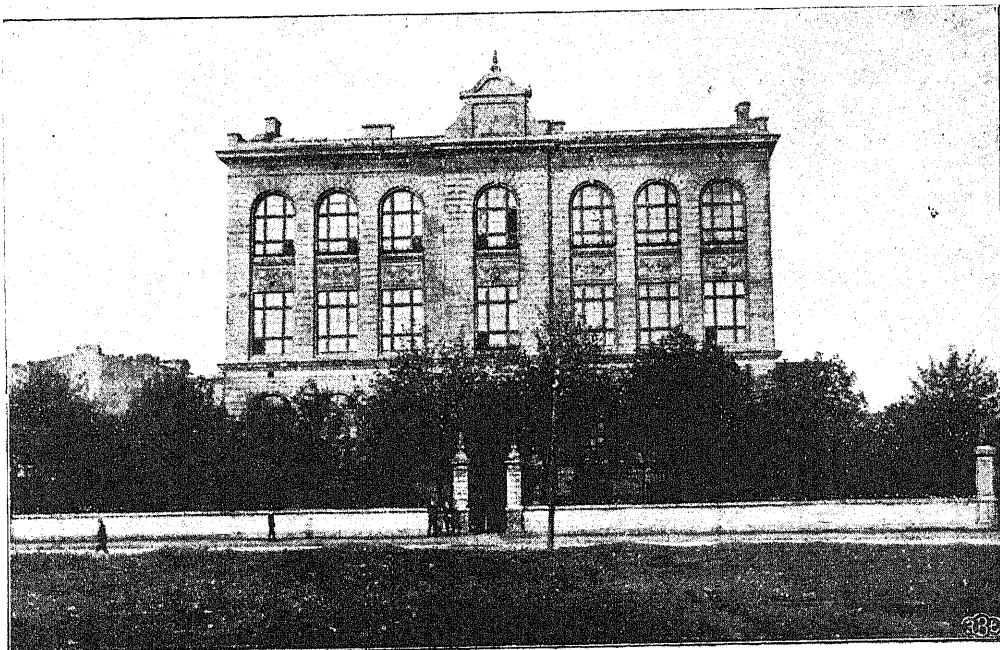
Zebranie partyjne.

— Tu ma się odbywać podobno zebranie ludowe?

— A tak, właśnie się zaczęło, obaj panowie siedzą w salce obok.

Modnie.

Biedna ta Rena, ma pecha w małżeństwie, tak ciasno mieszkają, że musiały wyrzec się oddzielnych sypialni.



Gmach główny Szkoły Rzemiosł przy ul. Wodnej.